



Dwujęzyczne obwieszczenie krzycało: Jasło, dnia 13 września 1944. ANORDNUNG-ZARZĄDZENIE

Celem zabezpieczenia ludności cywilnej rozkazuję natychmiastową ewakuację miasta JASŁA.

Do PIĄTKU dnia 15 września 1944 r. godzina 18 musi ostatnia osoba cywilna opuścić miasto. Ludności dozwolonym jest zabranie swego mienia.

Ludność udaje się w okolice Biecza-Gorlic, gdzie w poszczególnych gminach będzie pomieszczona.

Komendant Wojsk Niemieckich.

W interesie ludności miasta Jasła polecam natychmiast bez ociągania, zastosować się do rozkazu Władz Wojskowych.

Der Kreishauptmann in Jasło
podp. Dr GENZ





Taki oryginalny komunikat, eksponowany akurat w naszym muzeum, zerwał 15 września 1944, z furty klasztoru Franciszkanów, 17 letni wówczas Stanisław Lewek. Narażając swoje życie, w obliczu zagłady miasta i gehenny jego mieszkańców zatroszczył się o corpus delicti tragedii Jasła.



W moim domu, z dziada pradziada jaślan, przez dziesięciolecia opowiadano o exodusie, jakiego doświadczyli.

Dziś równo 70 lat od pamiętnego września roku 1944 moją wiedzę dopełniają, wówczas dzieci, mama Janina Dranka i Jej brat Antoni Juryś - jedyni już wśród najbliższych uczestnicy i świadkowie niewyobrażalnych, dla młodych, zdarzeń.



Zaledwie kilka dni po rozpoczęciu nauki w szkole, porządek tej jesieni zakłóciła wiadomość przekazana w formie cytowanego ogłoszenia o konieczności opuszczenia miasta w ciągu 3 dni. Ludzie w pośpiechu szukali kwater w pobliżu Jasła u znajomych i nie tylko. Niektórzy wyemigrowali do Biecza i dalej. Byli i tacy, którzy wyjechali do Krakowa i innych miast Polski. Nic dziwnego, że dziś Jaślanie są wszędzie, wszakże wielu już nigdy do Jasła nie wróciło. Nasza 7 osobowa rodzina Jurysiów udała się do Brzyścia, na zaproszenie znajomej Kośkowej, która nosiła familii mleko, masło, sery, jajka.



Czasu na działanie było niewiele. Mój dziadek mistrz stolarski nie stracił głowy w tym nagłym wyzwaniu, zrobił naprędce drewniane walizki, by dobytek jakoś zapakować. Każdy z domowników dostał taki pakunek i drobiazgi do ręki, natomiast inne przedmioty, w tym pościel załadowano na dwukołowy wózek. Tak objuczeni powędrowali do Brzyścia - wspomina mama. Wujek natomiast dokładnie pamięta, że na wysiedlenie jechał na rowerku, który wcześniej, na 6 urodziny, kupili mu rodzice u mechanika Bąka. Wtedy, gdy mama z tatą dobijali targu wujek, z pomocą 4 sióstr, przeszedł intensywny kurs jazdy i z zachowaniem równowagi samodzielnie od razu pojechał. Pojazd ów przetrwał ten burzliwy czas i późniejsze wojaże, zachował się do dziś jako sprawna 72 letnia historyczna pamiątka "Made in England"!



Moi przodkowie łatwo dotarli do Brzyścia. Przyjęto ich w domu Kośkowej, gdzie spędzili tylko jedną noc. Gospodarstwo zajęli bowiem, poza domownikami, Niemcy. Mieli tu, jak się okazało, dobry punkt strategiczny do działań wojennych. W ogrodzie, blisko zabudowań ustawili 2 działa dużego kalibru. Już pierwsze wystrzały z tych armat pozbawiły drewniany dom szyb i otynkowania, które wypadły wraz z mchem wypełniającym szczeliny między balami. Chałupa widmo nie nadawała się do zamieszkania. Jurysiewie trafili do siostry Kośkowej - Marii Faryj mieszkającej po sąsiedzku w innym domu z synem Michałem. Była tam już 8 osobowa rodzina siostry dziadka z rodziną - Knullowie.

Zdali się na taki los, wszakże nie wszyscy mieszkańcy wioski przyjmowali wysiedleńców.

Dom był niewielki, składał się z jednej izby (pokoju), kuchni, sieni, w drugiej połowie - stajenki dla konia i krowy.



Dziadek fachowo przysposobił miejsca do spania. Zrobił 3 szerokie piętrowe prycze. Wszyscy, razem 15 osób, zamieszkali w jednym pomieszczeniu, w kuchni nocowała gospodyni, jej syn Michał przeniósł się na strych. Nasi to Felicja i Julian Juryś, ich dzieci: Maria, Zofia, Krystyna, Janina, Antoni oraz Zofia Knull i jej dzieci Adam, Irena, Maria, Ewa, Janina, Józefa, Jadwiga.

Z czasem było tam 21 osób, jako, że dołączyli: prababcia Maria Watras, 2 bracia dziadka Roman i Władysław Juryś z żoną Zofią.

Prababcia Maria Watrasowa, bowiem, jak wiele starszych ludzi, nie zgodziła się na wysiedlenie, została w Jaśle, nie chciała pójść z rodziną, została, "by pilnować domu" i zajmować się psem i świnką. Te argumenty nie przemawiały jednak do Niemców. Wieprzka zarekwirowali, psa zastrzelili. Naszą seniorkę i inne osoby, przeważnie sędziwe, zgromadzili w jedną grupę i zmusili do opuszczenia miasta. Wszystkich i gromadnie wyprowadzili pieszo w kierunku Biecza. Dowiedziawszy się o tym, wysiedleni w Brzyściu, babcia ze swoją bratową Zofią doszły do drogi i wyciągnęły moją prababcię z tego konwoju. Zadanie było o tyle łatwe, bo ta szła na przedzie prowadząc czyjaś krowę. Podeszły żwawo, wzięły krewną pod pachy i nie zauważone przez konwojujących szybko umknęły do domu na wzgórze.

Wpisany przez Zbigniew Dranka
piątek, 20 lutego 2015 13:56

